

Szkola pełna obłoków

Mało jest nazwisk na Łomnicy, które w sercach mieszkańców budzą tak pozytywne emocje jak Gromalowa. Nie trzeba dodawać imienia, wszyscy wiedzą: chodzi o Ksawerę Gromalą - wieloletnią nauczycielkę i dyrektorkę szkoły najbardziej góralskiej wsi na Sądecczyźnie. Z początkiem lat 80, Gromalowa podjęła decyzję i starania aby powstała nowa szkoła. Stary budynek nie mógł już pomieścić wszystkich i nauka odbywała się w prywatnych budynkach. Stan techniczny też budził grozę, ciekł dach, nie było sali gimnastycznej i łazienek, a w salkach była taka temperatura jak na polu.

Pamiętam, jak przez rok uczyliśmy się u p. Wnęka, a ze względu na liczną klasę ulokowano nas w garażu. Jesienią było pięknie i swojsko. Na parapetach piąty koguty, gdakały kury, a my na każdej przerwie graliśmy w różne gry na świeżym powietrzu. Zimą już nie było tak dobrze. Mróz dawał się we znaki i materacami ocieplono nam drzwi od garażu, żeby było cieplej tym w ostatnich ławkach. Klasy 5 do 8 uczyły się w starej szkole na Klincu. Kiedy i my doczekaliśmy tej chwili cieszyliśmy się nie tylko z tego, że będziemy mieć swoją klasę ale to był taki etap przejścia w "dorosłość". Fakt że ze szkołą dzieliła mnie tylko dziura w płocie też miał znaczenie bo dzwonek szkolny słyszałam w domu i nie musiałam już tak tego czasu pilnować. Butów też nie trzeba było zmieniać, szatni nie było.

Na początku roku szkolnego gdy zaczynałam klasę piątą, brakowało dla nas sali, ponieważ te starsze klasy były dosyć liczne. I wtedy ustawiono nam ławki na polu pod obłokami dosłownie. Ach, jak wtedy chciało się chodzić do szkoły! Szumiący potok, słoneczko i liście spadające wprost do książek, to było coś czego nie da się zapomnieć. Po kilku dniach przeniesiono nas do sali szkolnej, którą od razu zaczęliśmy upiększać. Był taki zwyczaj, że każda klasa dbała o wystrój swojej sali. Przynosiliśmy z domów kwiaty w doniczkach, które mama uznawała za zbędne w domu i tak sala zappełniała się roślinami na parapetach i ścianach. Kwietniki zrobił nam nasz szkolny już nieżyjący kolega Stasiu Maślanka. A robił je z korzenia jakiegoś drzewa, chyba była to jodła. Pięknie się komponowały z paprociami. Na biurku zawsze były świeże kwiaty przynoszone zazwyczaj przez dziewczyny z przydomowych ogródków. A to astry, a to floksy a wiosną obowiązkowo bez. Na ścianach wieszaliśmy poroże jelenia, znalezione przez dzieci wędrujące z górskich przysiółków do szkoły.

Mieliśmy wszyscy poczucie wspólnego dobra. To co robiliśmy na rzecz szkoły, nie traktowaliśmy jak karę czy przymus ale coś z czego mogliśmy być dumni. Pani dyrektor miała zwyczaj rankiem przychodzić do wszystkich klas po kolei aby zobaczyć jej wystrój czy gazetkę szkolną. Wszyscy bardzo starali się, aby umieszczać na niej informacje o aktualnych świętach, uroczystościach czy porach roku. Zdolniejsi plastycznie wykonywali większość napisów czy rysunków. Obok szkoły znajdował się ogródek w którym sędziliśmy kwiaty i warzywa. Na lekcjach biologii plewiliśmy chwasty. Z panią Jojczykową praca wrzała bo to zawsze było fajniejsze zajęcie od siedzenia w klasie. Przychodziliśmy często wcześniej, żeby porozmawiać z naszą woźną Toczko, którą wszyscy nazywali stróżką. Pani Stefania - tak miała na imię - zawsze znalazła czas dla uczniów. Po rozpaleniu w piecach (w każdej klasie był piec kaflowy) zaczynała pogawędki, co to się we wsi ciekawego wydarzyło. Lubiła słuchać, ale też opowiadać. Zawsze wesoło i z uśmiechem nas witała od drzwi, jakby nie mogła się doczekać pierwszego ucznia. Piece były już ciepłutkie i można się było do nich "przytulić" czy ogrzać ręce. Chłopcy nosili jej węgiel, a ona "odwdzięczając się" stała na czatach

przy drzwiach gdy odpisywali zadanie. W Łomnicy większość dzieci nie miała na to czasu w domu, ponieważ pracowała w gospodarstwie. W każdej chałupie gazdowano: krowa, koń, owce, kury, zające, samo się to nie najadło. Posługę trzeba było zrobić. Gdy na wiosnę zaczynała się robota w polu, każdy kto utrzymał grabie, motykę na równi z dorosłymi pracował. Co pilniejsi, do pasienia krów zabierali książkę a inni woleli zanieść nauczycielowi kawałek ciocięciny czy jajek i już do tej nauki nie trzeba było się tak przykładać. Ale nauczyciele inni byli, szanowali Łomniczan za ich hardość i pracowitość, starali się zrozumieć ich język, bo na Łomnicy mówiono gwarą, nie "po pońsku". To było tak naturalne, że żadnemu z nauczycieli nie przyszło do głowy aby z tego powodu wstawiać uwagę negatywną. Ania Żywczak - nauczycielka - nie tak dawno wspomniała, że gdy przyjechała uczyć w łomniczanskiej szkole najbardziej utkwił jej w pamięci wyraz "łotupny". Tego słówka nauczyła się od swoich wychowanków. Być nauczycielem w tamtym czasie znaczyło mieć autorytet. Pani Gromalowa była nim darzona zarówno przez uczniów, których uczyła j. polskiego jak i wszystkich Łomniczan. Nigdy nie zdarzyło jej się skrytykować ucznia z powodu braku wiedzy czy niewłaściwego ubrania. Wręcz przeciwnie. Zachęcała innych do niesienia pomocy i sama starała się pomóc. Wiedziała jak ludzie tutaj ciężko pracują i nie zawsze szkołę stawiają na pierwszym miejscu. Ale jak to w każdej szkole były też dzieci wybitnie zdolne, które zdobywały zaszczytne miejsca i nagrody na wielu olimpiadach wojewódzkich.

Pani Gromalowa - kobieta delikatna a zarazem silna. Jakże inna to była klasa człowieka. Napotykała przeszkody, odmowy ale nie poddawała się i z wielkim uporem walczyła o lepszą edukację. A trzeba też zaznaczyć że nie wszystkim zależało na tym, aby ta szkoła powstała. Była pewna grupa, która jej w tym przedsięwzięciu przeszkadzała i utrudniała. Pani Ksawera jeździła, prosiła od drzwi do drzwi. Komitet rodzicielski pomagał jej jak tylko mógł. Matki towarzyszyły jej podczas wizyt w kuratorium i swoimi wypiekami starały się wkupić w łaski decydujących o przyszłości ich dzieci. Poranki w starej szkole pachniały kawą, a często dymem papierosowym dobiegającym z sekretariatu - co nikomu wówczas nie przeszkadzało. Zdarzało się, że w klasie jakaś myszka się pokazała. Był wtedy pisk dziewczyn i skakanie po ławkach ku uciechu reszty, bo to zawsze szybciej lekcja minęła. Szkolny sklepik prowadzony był przez dziewczyny, oranżada to towar najczęściej kupowany po w-fie i w upalne dni. Batony czekoladowe leżące na półkach sklepiku często ratowałyśmy przed myszami, które były równie częstym gościem jak uczniowie. Jakże to były emocje, ile opowiadań i śmiechu podczas takich akcji. Zabawa szkolna to było wydarzenie, na które czekało się z utęsknieniem. Do tej pory mam przed oczyma taki obrazek, jak pan Szabla chodzi z wiaderkiem wody przyniesionej z pobliskiej studni i polewa podłogę, którą akurat zamiataliśmy w korytarzu przygotowując ją do tańca. Dzień wcześniej przystrajaliśmy sale wstążkami z bibuły bądź serpentynami a mamy zajmowały się pieczeniem ciast. Podczas zabawy nikt nie stał pod ścianą. Wszyscy tańczyli. Czasem bardziej nieśmiali gasili światło ale zaraz pan Szabla nas "oświecał" i trzeba było tę nieśmiałość przełamać. Przerwy lekcyjne polegały zazwyczaj na wyjściu do sklepu po lody albo bułkę bo nie każdy przynosił z sobą kanapki. Młodsza starsza rocznikiem wspomina, że gdy nie mieli w domu nic do chleba, kroili drobno czosnek i solili chleb, czasem smarowali smalcem aby ich śniadanie pachniało swojską kiełbasą. To była taka "podróbka" na biedniejsze czasy. Gdy było ciepło, to szliśmy za tamę na jabłka. Na Długoszkówce była jabłoń i ona przyciągała najbardziej. Ach, jakie te jabłka były dobre. Te mniej dorodne lub spadły leżały w różnych miejscach, gdzie chłopcy sprawdzali swoje umiejętności strzelania do celu. Miejsce za tamą służyło też do spróbowania różnych trunków podczas dnia wagarowicza, a co bardziej nerwowym "puszczeniem dymka". Ale wszystko w granicach rozsądku oczywiście. Łapanie chrabąszczy i wpuszczanie dziewczynom za kołnierz to było ulubione zajęcie chłopców. Ile było przy tym krzyku, strachu, ale dzięki temu przełamałam moją niechęć do tych owadów. Z braku

sali gimnastycznej, lekcje w- fu prawie zawsze odbywały się na świeżym powietrzu. Latem graliśmy na Nawsiu w piłkę (wtedy było tam boisko sportowe). Gdy zachciało się pić, bieглиśmy po kwaśną wodę pod Lichonia, albo na Maryniaki. Zimą chodziliśmy na sanki na pobliskie pagórki i nie było problemu z przemoczonymi butami czy ubraniem. Pan od w-fu zabierał nas też na wędrówkę po górach albo do lasu na grzyby. Taka to była szkoła w obłokach gdy pani Ksawera Gromala była dyrektorem. Była to szkoła przepiękna kulturą i sukcesami. Kółko muzyczne prowadził pan Jerzy Styrna. Powstała grupa grających na fletach, akordeonach, cymbałach, wspaniale śpiewający chór dziewcząt, kółko teatralne, taneczne prowadzone przez p. Wiesławę Jójczyk a nawet kapela podwórkowa. Młodzież grająca na instrumentach swoją miłość i pasję do muzykowania wynosiła z domu rodzinnego. W każdej rodzinie był ktoś, kto śpiewał czy grał na instrumencie podczas rodzinnych czy parafialnych uroczystości. Podczas Przeglądu Artystycznego na terenie gminy Piwniczna, szkoła w Łomnicy Zdroju trzy razy z rzędu zajmowała 1 miejsce. Młodzież z kółka teatralnego prowadzonego przez p.Łomnicką i p. Bednarczyk (obecnie Korus) wiele razy odbierała nagrody w Krakowie podczas konkursów teatrzyków lalkowych, a były to zazwyczaj 1 miejsca. Za każdym razem, kiedy uczniowie wracali z takich konkursów, pani Gromalowa wychodziła jak matka przed szkołę i witała ich ze łzami w oczach. Każdemu z osobna gratulowała i dziękowała. Następnie odbywał się apel, na którym wyróżniała uczniów, którzy brali udział w takich konkursach wywołując ich z imienia i nazwiska, a cała szkoła nagradzała ich gromkimi brawami. W ten sposób budowała w nas jako uczniach tej szkoły wspólnotę, zamiłowanie do pracy społecznej patriotyzm i wzajemny szacunek. Oczywiście ocena wzorowa z zachowania i 5 z przedmiotu którego konkurs dotyczył nie ominęła nikogo. Pani Gromalowa pragnęła, abyśmy podróżowali i zobaczyli jak najwięcej tego świata. W czasach, gdy w Łomnicy ludzie żyli z gospodarstwa i z tego co uchwali i sprzedali ciężko było wygospodarować parę złotych na wczasy dla dziecka. Nikt nie wyjeżdżał na wakacje. Zbieranie borówek to było zajęcie na wakacje, bo wtedy za sprzedane owoce można było sobie kupić nowe spodnie czy zeszyty do szkoły. Więc Pani Gromalowa organizowała zbiórki: a to makulatura, butelki czy dzika róża suszona na strychu szkoły. Młodzież chętnie angażowała się w to przedsięwzięcie, bo gdy oddano je do skupu, za pozyskane pieniądze jechało się nad morze. Tradycją stało się, iż co roku klasa ósma w maju lub w czerwcu jechała na kilka dni do Gdyni na wycieczkę. Pani Gromalowa o to zabiegała i nie było ucznia kończącego podstawówkę w Łomnicy, który by nie widział na własne oczy polskiego morza. Kiedy po wielu latach starań udało jej się wybudować szkołę, cieszyła się naszym szczęściem i uśmiechała dumnie gdy przenosiliśmy ławki ze starej do nowej szkoły (ależ to była frajda). Wchodziliśmy z niepokojem czy nie zgubimy się w takich wielkich korytarzach a Ona tylko dodawała nam odwagi i pokazywała nam kolejne sale. Jak dobra matka zostawiła swoim wychowankom to, co najważniejsze. Godne miejsce do edukacji, ale przede wszystkim nauczyła nas jak budować własną tożsamość, wzajemny szacunek, oraz jak z uporem dążyć do celu. W zeszłym roku od nas odeszła, a nigdy nie dbała o to, aby za życia ją nagradzać, nie wypinała piersi do orderów, żyła skromnie i po cichu. Z jakim zdziwieniem przeczytałam kiedyś że nagrodę m.in. za budowę szkoły Krzyż Zasługi otrzymała osoba, która do Łomnicy przyszła na gotowe, a nawet dostała w mieszkanie w szkole. W szkole, którą Nasza Pani Gromalowa wybudowała. Nasza, choć z Barcic. Dlatego by nie fałszować historii Łomnicy nie tylko w sercach Łomniczan, ale i w kronikach trzeba nam poczynić starania o miejsce pamięci p. Ksawery Gromalowej które mogłoby powstać w Łomnicy Zdroju.

Agnieszka Fiedor